

JAROSŁAW KUISZ, CHARAKTER PRAWNY POROZUMIEŃ SIERPNIOWYCH 1980–1981

Krzysztof Mularski

/// 1.

W recenzowanej pracy autor podjął pierwszą w polskiej literaturze prawniczej próbę monograficznego opracowania problematyki prawnej tzw. porozumień sierpniowych, czyli, najogólniej rzecz ujmując, dokumentów podpisanych przez przedstawicieli rządu PRL z przedstawicielami strajkujących robotników w Szczecinie, Gdańsku i Jastrzębiu na przełomie sierpnia i września 1980 r. Zasadność podjęcia tematu wydaje się oczywista; dość wspomnieć, że porozumienia te uchodzą chyba za jedno z najważniejszych wydarzeń w najnowszej historii Polski, a były dotąd szerzej badane jedynie od strony politologicznej czy historycznej, a nie prawnej. W recenzji podejmę próbę wskazania kilku różnego rodzaju i różnej wagi mankamentów pracy oraz próbę teoretycznoprawnego zinterpretowania niektórych powoływanych przez Jarosława Kuisza faktów. Te ustalenia dadzą – być może – jakąś podstawę do wyrażenia oceny globalnej.

/// 2.

Jeśli chodzi o mankamenty pracy, w pierwszym rzędzie należy wskazać na pewne wątpliwości związane z doбором literatury. Przyjęte założenie o potrzebie ograniczenia literatury prawniczej do niektórych tylko czasopism jest trafne, co do zasady trafny wydaje się też dokonany wybór konkretnych czasopism. Wyjątkiem od tej zasady jest w moim przekonaniu nieuwzględnienie „Nowego Prawa”, czasopisma nie tak specjalistycznego, jak np. „Państwo i Prawo”, ale i nie tak „popularnego” jak np. „Prawo i Życie”, które zostały uwzględnione przez autora. W czasopiśmie tym od numeru 3 do numeru 9 z 1981 r. funkcjonowała rubryka „Wokół projektowanych zmian ustawodawczych”, w której zamieszczono wiele artykułów

niewuwzględnionych w pracy, a niekiedy bezpośrednio dotyczących materii w niej podejmowanej (por. Zdziennicki 1981: 64 i n.).

Po drugie i znacznie ważniejsze, autor przejawia niekiedy tendencję do zajmowania się sprawami, które wykraczają poza temat, nic doń nowego nie wnosząc. Uderza to zwłaszcza w przypadku skrupulatnego powoływania przepisów negocjowanych i później uchwalanych aktów normatywnych. Jeśli zamierzeniem autora było przedstawienie materiału empirycznego dla uzasadnienia głoszonej tezy o możliwości istnienia negocjacyjnej formy stanowienia prawa w ustroju niedemokratycznym, wystarczyło chyba ograniczyć się do przepisów, które były przedmiotem prowadzonych wówczas negocjacji. Nie było chyba konieczne pisanie o każdym artykule, łącznie z takimi, które w ogóle nie były przedmiotem sporu. Przedstawienie całych aktów normatywnych zaciemnia momentami tok myśli autora i prowadzi do przeciążenia pracy przypisami (Kuisz 2009: 360 i n., 407 i n., 415 i n., 458 i n.).

Autorowi nie udało się również nie głosić wypowiedzi, których w mym przekonaniu w pracy naukowej głosić się nie powinno, a które określić można – z przesadną może złośliwością – mianem laudacji i dezyderatów. Co do laudacji, autor przypisał walor bycia wybitnym historykiem Andrzejowi Friszchemu (Kuisz 2009: 197). Tymczasem ocenić kogoś jako wybitnego (w tym przypadku: wybitnego historyka) można by chyba wtedy, gdyby samemu posiadało się taki status (wybitnego historyka); wypowiedzieć zaś zdanie opisowe (taki a taki podmiot uważany jest za wybitnego historyka) – dopiero po przeprowadzeniu badań empirycznych w grupie wybitnych historyków (skądinąd – jak taką grupę wyznaczyć?). Jakkolwiek by się rzeczy miały z wybitnością A. Friszke, głoszenie owej można było sobie chyba darować. Co do dezyderatów, nie do końca wiadomo, po co warto pamiętać o sile społecznych postulatów (nie jest zresztą jasno powiedziane, czy społecznych postulatów „Solidarności”, czy społecznych postulatów w ogóle; Kuisz 2009: 480). Nawet jeśli istotnie warto, niekoniecznie warto o tym pisać w pracy historycznoprawnej. Trzeba jednak zaznaczyć, że głoszenie takowych poglądów zdarza się autorowi wyjątkowo, co szczególnie godne podkreślenia na tle znanych piszącemu te słowa prac z szeroko pojętego prawa konstytucyjnego, w których niekiedy aż roi się od wezwań do poszanowania demokracji, praw człowieka itp., w znaczeniu rzecz jasna takim, jakie akuratnie upodobał sobie dany autor.

Bardzo dziwnym, godnym odnotowania błędem jest nazwanie Zygmunta Ziemińskiego Zbigniewem Ziemińskim (Kuisz 2009: 209). Pozostaje żywić nadzieję, że to tylko nieszczęsna pomyłka drukarska.

Niekiedy autor posługuje się językiem cokolwiek mętnym, wskazać tu można jedynie na dwa przykłady. I tak, nie za bardzo wiadomo, na czym polegać ma „próba dotarcia do istoty porozumień [sierpniowych]” (Kuisz 2009: 215). Skądinąd warto zauważyć, że zwroty mówiące o docieraniu do „istoty” rzeczy, odkrywaniu „istoty” instytucji prawnych itp. są w prawoznawstwie ciągle niezwykle popularne, co nie zmienia jednak faktu, że stanowią one reminiscencję dawno gdzie indziej zarzuconej Arystotelesowskiej wizji nauki. Wizji w gruncie rzeczy metafizycznej, żądającej odkrywania „istoty rzeczy” właśnie, a nie możliwe precyzyjnego przypisania sensu wyrażeniom językowym. Gdzie indziej mowa natomiast o „swoistej idei regulatywnej” (Kuisz 2009: 371); nie wyjaśnia się przy tym, czym jest owa idea, ani tym bardziej czym różnią się swoiste idee regulatywne od nieswoistych idei regulatywnych.

Wreszcie sprawa chyba najważniejsza: autor po prawie pięciuset stronach badań dochodzi do wniosku (którego, co trzeba podkreślić, nie głosi szczęśliwie z jakimś szczególnym przekonaniem), że z syntetycznego punktu widzenia „porozumienia sierpniowe to akt o charakterze *sui generis*, mający znaczenie polityczno-prawne” (Kuisz 2009: 469). Otóż z logiki wiadomo (tzn. teza ta jest, o ile wiem, niesporną interpretacją aksjomatów rachunku predykatów) (Czeżowski 1968), że każdy obiekt ma przynajmniej jedną cechę różniącą go od każdego innego obiektu. Innymi słowy, nie jest możliwe istnienie obiektu nie różniącego się od każdego innego obiektu chociaż jedną cechą. Jeszcze inaczej, całkowita identyczność cech każe sądzić, że mamy do czynienia z jednym i tym samym obiektem. Powiedzenie więc o obiekcie, że jest swoisty, tak naprawdę nic o nim nie mówi. Kwalifikację taką należy więc uznać za porażkę autora. W moim przekonaniu dużo lepiej byłoby powiedzieć, czym porozumienia różnią się od innych, znanych nauce prawa kategorii teoretycznych (np. umów cywilnoprawnych, umów publicznoprawnych itp.), a w czym są z takimi kategoriami tożsame. Ewentualnie można by próbować skonstruować dla nich jakąś odrębną kategorię, do której być może należałoby zakwalifikować również jakieś inne obiekty (porozumienia „Okragłego Stołu”?). Nie jest zresztą wykluczone, że pytanie o status prawny ujmowanych całościowo porozumień sierpniowych jest pytaniem źle postawionym, że nie da się ich sensownie zakwalifikować do żadnej znanej nauce prawa kategorii teoretycznych. I taka odpowiedź, połączona z próbą kwalifikacji poszczególnych punktów porozumień (tych, które mają znaczenie prawne, bo niektóre ewidentnie takiego znaczenia nie mają), byłaby w moim przekonaniu nieporównanie lepsza niż pisanie o „akcie o charakterze *sui generis*”. Autor podejmuje wprawdzie – co trzeba podkreślić, próbę – jak to nazywa, „analitycznego” ustalenia charakteru prawnego porozumień

sierpniowych, tj. dokonania kwalifikacji poszczególnych postanowień tych porozumień. Czyni to jednak dopiero po, w moim przekonaniu raczej nieudanej, kwalifikacji „syntetycznej”. Niezależnie od powyższego, autor, jak się zdaje, popada w sprzeczność z głoszoną na samym początku pracy tezą, jakoby „umowy podpisane między rządem a robotnikami pozostawały *de facto* poza obowiązującym prawem PRL” (Kuisz 2009: 17). Jak można dokonywać kwalifikacji do kategorii skonstruowanych dla zdarzeń prawnych czegoś, co ma się znajdować poza prawem¹? Należy jednak stanowczo podkreślić, że nieprzekonujący wynik badań autora w żadnym razie nie przekreśla wagi samych badań, prowadzonych w rozdziale „Syntetyczne ujęcie porozumień sierpniowych”.

/// 3.1.

Autor na samym końcu pracy wyraża nadzieję, że jego opracowanie „sprovokuje dalszą dyskusję w literaturze” (Kuisz 2009: 470). Pragnąłbym więc poddać pod dyskusję kilka spostrzeżeń, które zrodziły się w trakcie czytania pracy. Spostrzeżeń, których oryginalność – wobec braku filozoficznego wykształcenia – może być bardzo wątpliwa. Tym niemniej, nawet powtórzenie myśli już wypowiedzianych na podstawie nowych faktów może mieć, jak się zdaje, jakiś walor. Dalsze uwagi są przy tym z d e c y d o w a n i e bardziej próbą interpretacji czy rozwinięcia wyników badań J. Kuisza niż polemiką z nimi, jakkolwiek chwilami będą charakter polemiczny.

/// 3.2.

Otóż, najogólniej ujmując spostrzeżenie bodaj najważniejsze, fakty opisywane przez pracę stanowią wielką pochwałę doktryny pozytywizmu prawniczego. Przypomnijmy, że w ogromnym uproszczeniu pozytywizm prawniczy głosi, że prawem jest to, co zostało ustanowione we właściwej procedurze przez upoważniony do tego podmiot, zasadniczo organ państwa, zupełnie niezależnie od swej moralnej treści. Pozytywizmowi przeciwstawiana jest doktryna prawa naturalnego, która w swej bodaj najpopularniejszej wersji głosi, że prawo skrajnie niemoralne – niezależnie od tego, czy zostało ustanowione we właściwej procedurze przez upoważniony do tego podmiot – nie jest już prawem. Najważniejszą wartością prawa w świetle pozytywizmu jest jego pewność, prawo natury domaga się zaś prawa prawnego, prawa sprawiedliwego. Odwołując się do chyba najczęściej powoływanego przykładu: w świetle pozytywizmu niemieckie tzw. ustawy

¹ Z tezą o pozaprawnym charakterze porozumień sierpniowych pozostaje w sprzeczności szereg innych też głoszonych przez autora, przykładowo nie można twierdzić, że stan wojenny unieważnił *de iure* porozumienia, które „pozostawały poza prawem obowiązującym” (Kuisz 2009: 22).

norymberskie są prawem w takim samym stopniu, co obowiązujący po dziś dzień kodeks cywilny z 1896 r., natomiast w świetle prawa natury ustawy te – jako moralnie odrażające – prawem już nie są. Podkreślając raz jeszcze wielkie uproszczenie tematu, któremu poświęcona jest ogromna literatura filozoficzno- i teoretycznoprawna, chciałbym wskazać na sprawę następującą:

NSZZ Solidarność, a szerzej – opozycja demokratyczna kształtująca się od połowy lat siedemdziesiątych – działała w całym badanym przez autora okresie (do wprowadzenia stanu wojennego) w granicach obowiązującego prawa. Zgodne z obowiązującym wówczas prawem były w szczególności same porozumienia sierpniowe (Kuisz 2009: 97 i n.; por. także ss. 164, 166, 248). Wątpliwości zgłaszane w tym przedmiocie, które do pewnego stopnia zdaje się podzielać autor, wydają się bezzasadne wobec przyjętego wówczas tzw. otwartego systemu źródeł prawa (który to fakt zresztą autor trafnie zauważa; Kuisz 2009: 251). W przeciwieństwie do stanu obecnego (art. 87 i n. Konstytucji RP), w ramach którego prawo stanowione być może przez dokładnie określone podmioty w dokładnie ustalonych formach, w czasach PRL system źródeł prawa dopuszczał stanowienie norm przez podmioty niewymienione w Konstytucji, w formach wcześniej nieznanych. Porozumienia sierpniowe, nie przecząc ich oryginalności, mieściły się więc w ramach ówczesnego systemu prawnego.

Ważniejszy od kwalifikacji faktycznych działań „Solidarności” i ich wytworów na gruncie ówczesnego systemu prawnego wydaje się jednak sposób argumentacji opozycji. Z recenzowanej pracy wynika, że argumentacja była na wskroś pozytywistyczna. Nie odwoływano się mianowicie – a w każdym razie odwołania takie miały charakter marginalny – do odwiecznych praw, ponadczasowych zasad, „Boga, Honoru i Ojczyzny”. Wprost przeciwnie, „Solidarność” konsekwentnie powoływała się na obowiązujące w PRL prawo. Chodziło tu nie tylko o konkretne, łamane przez władzę, akty normatywne (np. Kuisz 2009: 370 i n.), lecz chyba przede wszystkim o przyjętą w ówczesnym systemie hierarchię źródeł prawa. Domagano się więc respektowania przyjętej w systemie prawa PRL zasady nadrzędności ustaw nad aktami organów administracji państwowej (rozporządzeń, zarządzeń itp.; np. Kuisz 2009: 393), umów międzynarodowych nad ustawami krajowymi (Kuisz 2009: 77, 99 i n.; chodziło przede wszystkim o ratyfikowane przez PRL konwencje Międzynarodowej Organizacji Pracy) oraz Konstytucji nad ustawami (Kuisz 2009: 27, 30 i n.). Więcej, zgłaszane postulaty natury ideologicznej również mieściły się w granicach ideologii pozytywistycznej, odnosiły się do pewności prawa, a nie do jakichś zewnętrznych wobec niego wartości. I tak, już na samym początku „epoki Solidarności”, podczas negocjacji

treści porozumień z władzą, starano się jak najusilniej, aby porozumienia były sformułowane możliwie jak najbardziej precyzyjnie, co miało ułatwić możliwie niesporne wprowadzenie ich w życie (Kuisz 2009: 65). Dalej, jasność prawa jako warunek konieczny jego pewności podniesiona chyba została do rangi jednego z głównych postulatów zgłaszanych przez „Solidarność” w trakcie negocjacji nad ustawami uchwalonymi w wykonaniu porozumień sierpniowych (Kuisz 2009: 353). Domagano się stanowienia ustaw, a nie innych aktów jako trwalszych – a tym samym pewniejszych (Kuisz 2009: 393, 405). Także umowy międzynarodowe były cenione jako trwalsze – i pewniejsze – od ustaw (Kuisz 2009: 37). Gdy już dochodziło do powoływania się na jakieś wartości inne niż pewność prawa, zawsze chodziło o wartości, które, chociaż deklaratywnie, były niekwestionowane w ramach wówczas obowiązującego systemu (np. Kuisz 2009: 72, 172, 291 i n.). Rzecz jasna, argumenty charakterystyczne dla doktryny prawa natury pojawiały się również, ale po pierwsze marginalnie, a po drugie prawie zawsze obok argumentów „wewnątrzsystemowych” (np. Kuisz 2009: 283). Samodzielne, istotne znaczenie zaczęły uzyskiwać chyba dopiero wobec zbliżającej się jesienią 1981 r. konfrontacji (Kuisz 2009: 435).

Co jednak najważniejsze, „Solidarność” (a wcześniej KOR; Kuisz 2009: 54) doskonale zdawała sobie sprawę ze swego legalizmu. Nie tylko postępowano (przynajmniej co do zasady) zgodnie z prawem, nie tylko do prawa owego się odwoływano, akceptując wartości przez nie uznawane, lecz otwarcie deklarowano dla owego prawa szacunek i posłuszeństwo. Sprawa ta, jak podkreśla autor, była dla „Solidarności” od samego początku tak oczywista (Kuisz 2009: 175), że ze zdumieniem przyjmowano żądania formułowania takich deklaracji na piśmie (Kuisz 2009: 64). Więcej nawet, od wybuchu strajków na Wybrzeżu aż po niesławny 13 grudnia 1981 r. niejednokrotnie jednoznacznie odżegnywano się od tego, jakoby „Solidarność”, czy też głoszone przez nią postulaty miały charakter rewolucyjny (Kuisz 2009: 100, 130, 139). Deklaracje posłuszeństwa obowiązującemu prawu w ten czy w inny sposób składała zresztą również władza (Kuisz 2009: 67) i „dysponenci kultury prawnej”, czyli prawnicy (Kuisz 2009: 63).

Powyższe spostrzeżenia należy w tym miejscu zinterpretować w świetle koncepcji tzw. *Grundnorm* Hansa Kelsena. Powinno to dać odpowiedź na chyba podstawowe pytanie: o rewolucyjny (albo nie) charakter „Solidarności”. W tym miejscu na marginesie pewna uwaga polemiczna – Kuisz wprawdzie odwołuje się do Kelsena (Kuisz 2009: 208), co jest w moim przekonaniu rozwiązaniem trafnym, niemniej nie czyni tego w przekonujący sposób. Dość powiedzieć, że autor nie sięga do uznawanej w teorii prawa za kluczową pracy *Reine Rechtslehre. Einleitung in die rechtswissenschaftliche*

Problematik. (Wiedeń 1934), lecz do pracy późniejszej, w której problematyka „rewolucyjności” w prawie została względem pierwotnego ujęcia zmarginalizowana, zmieniona i przedstawiona o wiele mętniej. Otóż, ogromnie upraszczając koncepcję Kelsena (w jej pierwotnym, „właściwym” ujęciu), widział on system prawny jako piramidę norm. Normy na samym dole piramidy obowiązują, bo zostały ustanowione na podstawie upoważnienia zawartego w normach wyższego rzędu (np. normy rozporządzenia obowiązują, bo zostały ustanowione na podstawie upoważnienia zawartego w ustawie). Normy wyższego rzędu obowiązują, bo zostały ustanowione na gruncie upoważnienia zawartego w normach jeszcze wyższego rzędu (np. normy ustawy obowiązują, bo ustawę uchwalił parlament na gruncie upoważnienia zawartego w Konstytucji) itd. Gdzieś jednak ten łańcuch musi się kończyć. Zdaniem Kelsena, aby nie popaść w *regressus ad infinitum*, należy założyć obowiązywanie tzw. *Grundnorm*, której nikt nie ustanowił, a która obowiązuje o tyle, o ile faktycznie skutecznym jest system zbudowany przez normy niższego rzędu. Zmiana *Grundnorm* oznacza właśnie rewolucję, zmianę dotychczasowego systemu prawnego na jakiś inny. Przykładowo, rewolucja bolszewicka obaliła dotychczasową „normę zasadniczą”, którą można by ująć w zdanie „prawem jest to, co wydano zgodnie z wolą cara”, na normę brzmiącą „prawem jest to, co zgodne ze sprawiedliwością ludową”. Zmiana *Grundnorm* spowodowała utratę mocy obowiązującej dotychczas obowiązujących aktów normatywnych (ukazów i dekrétów cara, ustaw dумы, aktów gubernatorów itp.). O tej koncepcji napisano pewnie ponad sto książek; w tym miejscu dość jednak powiedzieć, że „Solidarność” ani na moment nie kwestionowała *Grundnorm* prawa PRL. Nie była więc ruchem rewolucyjnym. Jej postulaty i metody działania również nie były rewolucyjne. Więcej, wbrew temu co pisze autor, cytując w tym przekonaniu bardziej egzaltowanych przedstawicieli prawoznawstwa, nawet język opozycji nie był rewolucyjnym „językiem niezbywalnych praw jednostki i etycznych pryncypiów” (Kuisz 2009: 88), lecz językiem obowiązującego prawa. Walka „Solidarności” była walką w ramach obowiązującego prawa; zmierzającą – co autor trafnie zauważa (Kuisz 2009: 30) – do delegitymizacji działającej bezprawnie władzy, niż do delegitymizacji systemu prawnego. W każdym razie takie wnioski można moim zdaniem wysnuć z materiałów badanych w recenzowanej pracy. Ruch „Solidarności” jawi się więc raczej jako zjawisko podobne do – jeśli wolno użyć tak ryzykownej analogii – ruchu egzekucyjnego z XVI w. niż do któregoś z udanych albo nieudanych powstań. Ruchu, którego zadaniem – co sam autor trafnie podkreśla – było raczej „odzyskanie” prawa przez społeczeństwo (Kuisz 2009: 18), niż jego obalenie i ustanowienie prawa własnego.

Na gruncie powyższego stwierdzić można, że przedstawiona w pracy krytyka pozytywizmu prawniczego jest zdecydowanie chybiona. Pozytywizm można rzecz jasna krytykować z wielu punktów widzenia, niemniej przeprowadzone przez Kuisza badania, a zwłaszcza przywoływane przez niego fakty, nijak nie pozwalają w moim przekonaniu na zgłaszanie akcesu np. do poglądu, jakoby w państwie socjalistycznym pozytywizm był co najwyżej zdegenerowanym pozytywizmem, który w państwach takich w imię postulowanego bezpieczeństwa prawnego uzasadnia wszelką niesprawiedliwość (Kuisz 2009: 477, za Jerzym Stelmachem). Trzeba jednak podkreślić, że autor nie zajmował się w zasadzie problematyką filozoficznoprawną, stąd krytyka nie ma znaczenia dla oceny pracy jako takiej. Po drugie i ważniejsze, materiały zebrane w pracy stanowią raczej pochwałę pozytywizmu; co nie znaczy wszakże, że sam autor taką pochwałę głosi. Pomijając jakieś bardziej szczegółowe argumenty (obniżanie napięcia, mniejsze ryzyko rozlewu krwi itd., czemu na pewno nie sprzyjałyby otwarcie głoszone postulaty prawnonaturalne), wystarczy chyba po prostu powiedzieć, że najważniejsze i może w jakimś sensie najlepsze wydarzenie naszej współczesnej historii było ugruntowane – rzecz jasna, jeśli chodzi o sferę prawną – w tej właśnie ideologii. Być może zresztą rozpowszechnianie tego faktu może być jedną z podstaw (na ile znaczącą i stabilną, to już inna sprawa), budowania wspólnoty politycznej, rozumianej w uproszczeniu jako zespół ludzi określających się przez uznanie przynajmniej po części tych samych, związanych z państwem i prawem wartości i ocen. Nie miejsce tu na rozwijanie tej myśli, ale wizja „Solidarności” jako ruchu rewolucyjnego od razu usprawiedliwia wszystkich tych, którzy wówczas stali po drugiej stronie („przecież atakowani przez rewolucję musieliśmy się bronić; wiadomo, co czynią rewolucje ze swoimi wrogami”); więcej, pozwala na gruncie moralnym uzasadnić ich poczynania („przecież broniliśmy obowiązującego prawa, które takie złe nie mogło być, skoro w znacznej mierze obowiązuje do dzisiaj”). Co innego, gdy przedstawiać się będzie „Solidarność” jako ruch egzekucji obowiązującego prawa. Da to usprawiedliwienie tylko niektórym – tym, którzy prawa tego nie łamali. Pomiedzy nimi a „Solidarnością” nie ma, jak się zdaje, jakichś nieprzezwycięzalnych przepaści; chociaż rzecz jasna w tym miejscu może przeze mnie przemawiać naiwność.

/// 3.3.

Za dobitnie wykazaną należy uznać chyba zasadniczą tezę pracy o możliwości tworzenia prawa w formie negocjacyjnej również w ustroju niedemokratycznym (autor stawia tę tezę na s. 18 i udowadnia właściwie w całej pracy). I na tym tle rodzą się pewne refleksje. Można je chyba

sprowadzić do stwierdzenia, że ustroj demokratyczny nie jest – spoglądając z perspektywy form stanowienia prawa – aż tak godny uwielbienia, jak się chyba powszechnie przyjmuje. Chodzi tu nie tylko o to, że negocjacyjna forma stanowienia prawa – uważana powszechnie za rzecz swoistą jedynie dla tego ustroju demokratycznego – okazuje się występować również w ustroju jawnie niedemokratycznym. Forma ta przeciwstawiana jest formie władczej, w ramach której upoważniony podmiot stanowi normy, nie pytając nikogo o zdanie, a przynajmniej nie musząc nikogo o zdanie pytać. Forma negocjacyjna, występując w ustroju demokratycznym, zdaje się jednak bardzo łatwo ulegać degeneracji; mało ostatnimi czasy słychać o aktach normatywnych uzgadnianych ze „społeczeństwem”, znacznie więcej o aktach uzgadnianych z lobbystami na cmentarzach; lobbystami nieudającymi nawet, że walczą o cokolwiek ponad interesy własne czy swoich mocodawców. Podlegająca łatwej degeneracji forma negocjacyjna wydaje się wręcz jedną z dróg umożliwiających przekształcenie demokracji w oligarchię, w ramach której akty normatywne są wprawdzie uzgadniane, lecz jedynie z wybranym podmiotami. Niezależnie od powyższego, forma negocjacyjna ułatwia uciekanie od odpowiedzialności za stanowione normy przez podmioty normy te stanowiące. Negocjacje można przecież toczyć tylko dla pozorów, nie zamierzając odstąpić od z góry założonych rozwiązań. W takiej sytuacji sprzyjają one obłudnej obronie ustanowionych norm przez władzę, która łatwo może zarzucać społeczeństwu, że nie powinno protestować przeciwko takim normom, skoro zostały z nim uzgodnione (Kuisz 2009: 389). Nawet zresztą jeśli negocjacje toczyły się rzetelnie, lecz ich wynik okazał się nieracjonalny, podmiot stanowiący może łatwo zrzucić konsekwencje takiego aktu na podmioty, z którymi akt negocjował. Być może lepiej byłoby więc nie deprecjonować formy władczej, w ramach której podmiotowi stanowiącemu prawo dużo trudniej uciec od odpowiedzialności za ustanowione normy. Wydaje się bowiem, że problem dobrego prawa nie tkwi w formie jego stanowienia – gdyż obie rozważane w pracy formy ulec mogą degeneracji – lecz w jego treści.

/// 4.

Wyżej wskazano jedynie na wybrane problemy i próbowano mniej lub bardziej twórczo rozwinąć jedynie wybrane zagadnienia poruszone przez autora. Trudno na tej podstawie wypowiadać w stanowczy sposób oceny globalne. Niestanowczo można jednak uznać, że praca zasługuje na ostrożne uznanie. „Ostrożne”, ponieważ mimo ogromu materiału praca nie przyniosła odpowiedzi na to, czym z prawnego punktu widzenia były porozumienia sierpniowe, a podana odpowiedź („syntetyczna”) wydaje się w moim przekonaniu jawnie niesatysfakcjonująca. Nie było

zadaniem pracy prowadzenie rozważań filozoficzno-prawnych, niemniej rozważania czynione na marginesie zasadniczych problemów przez pracę podjętych wydają się nieadekwatne do materiałów, na gruncie których zostały sformułowane. „Uznanie”, ponieważ w drobiazgowy i wnikliwy sposób zbadano niezbadaną dotąd problematykę. Udowodniono podstawową z postawionych hipotez, głoszącą możliwość stanowienia prawa w sposób negocjacyjny w ustroju niedemokratycznym. Recenzowane dzieło stanowi także znakomity punkt wyjścia do ewentualnych dalszych dociekań oraz uzupełnia wiedzę historyczną o zagadnienia prawne związane z problematyką badaną najczęściej z zupełnie innych niż prawny punktów widzenia.

Bibliografia:

/// Czeżowski, T. 1968. *Logika*. Wyd. 2. poprawione. Warszawa: PWN, s. 96 i n.

/// Kuisz, J. 2009. *Charakter prawny porozumień sierpniowych 1980–1981*. Warszawa: Trio.

/// Zdziennicki, B. 1981. *Samorząd w przedsiębiorstwach*. „Nowe Prawo” 4/1981: 64 i n.